

BOŻENA KEFF

---

# Razem, osobno

BOŻENA KEFF

## *Razem, osobno*

### *Wieczór Ewy Patłó*

Ewa Patłó wychodzi z pracy o piętnastej trzydzieści,

w ulicze

mija starszego pana, który

w ceratowej torbie

niesie psa z siwą mordą.

Ewa wchodzi na rondo

staje jak na obrotowej scenie

między mijającymi tramwajami i autobusami,

przechodzącymi ludźmi

Zaraz po zachodzie słońca

szosą osiemset osiem mknie

John Best. Jego

czterdziestocylindrowy srebrzysty Sakwojaż

z elektronicznym wtryskiem paliwa

jest wymoszczony szczelnie jak unoszące się gniazdo

muzyką płynącą z ośmiu głośników. John

włącza telewizor i zerkając na ekran widzi:

Abelokain, leżąc w wysokiej trawie,

zagłusza dogłębne poczucie rozdwojenia

rozkoszując się odzyskanym Rajem

nad którym

nie powiewa żadna, żadna flaga.

Tymczasem

Ewa Patłó wychodzi z konferencji prasowej

(za nią jej genialny agent

z psem w ceratowej torbie). Dała tam

do zrozumienia

że jest fundatorką i pierwszą wyznawczynią

nowej religioideofilozofii:

*Wsiem! Wsiem! Wsiem!* Przynajmniej

na dziesięć lat. Agent i jego pies

udaremniają kilkaset zamachów na jej życie.

Wywożą ją na Antarktydę, ale wrogowie

zdalnie podłączają do lodów grzejnik. Z potopu

ratuje ją John Best, jak zawsze nonszalancki

i bezdennie smutny.

Tego wieczoru

zamknęły się w ciasnej odrapanej łazience jakiegoś

mieszkania.

Słuchaj, prosi Ewa Patło, moglibyśmy żyć inaczej,  
nie dać się! Ja  
już się dałem, odpowiada jej przyjaciel  
niedoszły kochanek  
zwany dotąd Johnem Best.  
Kiedy Ewa Patło weszła do jego mieszkania  
(rzadko zamieszkiwanego) znalazła go  
zwiniętego na materacu. Spodnie i sweter  
na podłodze, poduszka  
ciśnięta w kąt. On klęcząc opiera głowę o podłogę

o ścianę

— nie może.

Wycie karetki, nad którą krąży zimne pozaplanetarne

światło

drzwi z pleksiglasu, szybka windy, okno  
sali szpitalnej  
coraz wyżej zachodzą  
samotnością.  
Od kilku lat nie żyje  
i coraz rzadziej Ewa Patło daje mu zajęcia, miesza go  
w zdarzenia  
które trwają  
lub które projektuje. Cóż, nie są już rówieśnikami.  
Ostatnio  
śnił się jej jako spojrzenie w oczy:  
były niebieskie, bez wymiaru,  
rozjaśniały się od napływającego światła  
aż zostało samo światło, sama dławiąca  
unosząca  
miłość.

Późnym popołudniem, w domu  
słuchając muzyki  
wyciąga flamastry i papier. Robi rysunki bez planu  
wedle tego, co wypadnie.  
Na pierwszym:  
mała Ewa Patło siedzi na krześle przed lustrem. Matka  
czesząc ją rzecze:  
*O dziecko, jakże jesteś  
podobne do wszystkiego,  
lecz najbardziej  
do babki ojca twego.*

Na drugim:  
olbrzymia Ewa Patło  
w kolorach jak pięścią w zęby. Demon  
siedzący na nosku jej buta  
patrząc w górę widzi  
dwa wzgórze piersi, podbródek i rozwiane włosy. Ewa

pali cygaro

i strząsając popiół w morze, powiada:  
*Jest we mnie o wiele więcej Ewy Patło  
niż czegokolwiek, co istnieje  
i ciągle więcej możliwości  
niż Ewy Patło.*

Na trzecim:  
na scenie połyskującej jak niebieski płomień spirytusu

Ewa, dziewczeczka w białej sukni, którą targa wiatr  
szepcze do swego dziecięcego buta:  
*Nigdzie; w całym wszechświecie  
nie ma  
drugiej Ewy Patło ani nic podobnego.  
Co za osamotnienie! Nikt mnie nie poprzedza  
i nikt nie jest w stanie przedłużyć. Co począć?*  
— Począć dziecię —  
szepcze babka jej ojca, siedząca  
na widowni.  
Na czwartym:  
Ewa Patło, sama i dorosła, usiłuje włożyć  
sвій dziecięcy bucik, który powiada:  
*O, bez przesady, jesteśmy  
do wszystkiego podobni, do niczego  
nie jesteśmy podobni. Ta równowaga/ trzyma się na skrajnościach.*

O ósmej ja przychodzę do Ewy Patło. Tego wieczoru  
wydaje mi się, że jest taka  
substancjalna, zawierająca się w sobie, że  
przylega do życia szczelnie, bo spaja ją z nim  
ta właśnie warstwa fikcji, w której żyje.  
— Mnie? Z życiem?! — mówi Ewa Patło, a ja  
przymierzam jej sukienki, swetry i buty  
ale zwłaszcza buty są  
w szczególny sposób  
nie moje.

Leżąc w łóżku  
Ewa Patło widzi za oknem  
zielony biegający neon i pasek nieba  
jest w tym coś z ozdobnej kraty więzienia, czując ją  
chciałoby się spakować walizki i ruszyć. I chciałaby  
w obronie swojej słabości  
użyć całej ludzkiej siły. I nie wie, co robić  
żeby naprawdę dotknąć swego życia,  
być i poznawać. Można by też,  
myśli,  
wyruszyć w tę praktyczniejszą  
bo niedotykalną, podobno pełną i szczęśliwą przestrzeń  
gdzie nic nie jest rzeczą;  
ale jaka w końcu możliwość odwróci od niej  
to, że jest jedna, osobna, jednokrotna —  
tylko to jedno: jednokrotna  
jest przedziwne i wymaga odwagi, skupienia, pomocy;  
och, pomyślała  
nagle siadając na łóżku, co ze mną będzie!  
Ktoś mógłby wiedzieć  
choćby tyle, że tego wieczoru  
miała na sobie ciemnoróżowy sweter. Ja to wiedziałam.

1974

# Miejsce do przesuwania

Tę planetę opuściła jej własna  
lub włożona w nią  
spoistość. Oko  
patrzące z dołu dzieli. Oko  
patrzące z góry  
zamknięte teraz. W powiece  
odbija się wszystko zmienne i reszta. Także ten człowiek  
siedzący na ulicy, tyłem do świata, zanurzony w gazecie;  
w powietrzu  
tłuczone szkło, muszelki, drób pieczony, miał  
przedmiotów i zwierząt, papiery —  
dlaczego nie dlaczego tak. Łza  
nie nadpływa,  
jej drobnokościste pokrewieństwo z ziemskim czasem  
zostało zawieszona.

Coraz częściej  
przychodzi do ciebie ktoś  
kto już nic — nienawidzić ani kochać. Kto  
otwiera sobie  
czerwoną, ostrą podróż bez ziemi  
do ziemi. Wytłumacz sobie, że to ciągle  
przejściowa historia. Bywa, że spoistość  
wraca do planety, odmyka się  
oko patrzące z góry i wierzysz  
że płynie blask. Wisi łza  
która nadpływa wypełnić miejsce łzy  
ale  
nie spływa

1974

# Zanim to złączysz

Ręka prowadzi kancelarię,  
usta — towary spożywcze i poligon,  
brew, kiedy o niej myślę, otwarta  
jak słowo *to*;  
tego dnia o świcie brew, ręka i usta  
idą po pasie startowym. Nad nimi  
puste lekkie białko i ukryte planety. Dobiega  
warczenie silników. Na tym bezludziu  
brew zakłada uniwersalny dom towarowy. Przestronne  
sale  
poszerzane szumem wentylatorów, wąskie czerwone  
korytarze, fioletowe  
owalne przymierzalnie. Reka przyjmuje  
damskie i męskie monety  
do zapłacenia toalety  
Na długo  
przed końcem pierwszych zakupów



w których wszystko  
odbija się zrozumiane. Kiedy o tobie myślę  
wydaje mi się  
że siedzimy oparci o siebie plecami: blisko, rozległe;  
patrzemy w przeciwnie strony. Idziesz najdłuższą ulicą miasta;  
nad tobą  
wampirzy pazur skończoności. Piętrowo  
zbudowany świat  
który  
trzeba trzymać w garści  
więc trzymasz  
i on też  
nie puszcza.

## 2.

Byliśmy na piwie, ty, ja  
i jeszcze kilka osób; w lustrze nad barem  
odbijała się zatłoczona ulica (godziny szczytu),  
każdy (młody) przechodzień jest możliwością  
jak otwarty, nieznany tunel. Pojawia się, jest, znika;  
przeczuwam, widzę, tracę — to wszystko działa  
jak środek pobudzający. — Do czego? — pyta ta dziewczyna.  
— Do czego? — powtarzasz — nie wiem, chciałbym zagrać  
Stawrogina. — Kochany — i nachyla się do ciebie trochę —  
ty za bardzo musujesz, szczęka kwadratowa, owszem,  
ale podgardle Erosa. Będziesz miał to, co ludzie mają;  
i wypijesz, ale za swoje,  
i czego jej oczy nie widzą, tego sercu nie żal,  
i choć lepszy, ale masz gorzej! Sam sobie

wypłacisz

a synka nazwiesz Nicolas!  
Z domu zadzwonił do niej.  
— Teraz właśnie cię kocham — powiedziała  
tak jakoś grzecznie, że miałyby się ochotę  
przejąć w twardych butach po szkło, niech pryska,  
trzeszczy, pęka. Och, uwyraźnić się, odbić!  
Od czego? Od kogo! Poustawiał szachy  
żeby zagrać ze sobą  
myśląc jednocześnie: nie warto,  
nie ma demona, nie ma mocy  
z którą można by zagrać o wszystko,  
jestem sam.  
Sam  
samotnie idąc pod górę  
osuwającego się lodowca.  
Był się ruszało. Wziął proszek od bólu głowy,  
zaparzył sobie kawy, włączył radio,  
chórek śpiewał:

*Jego rachunki są jakby nie jego  
choć się zgadzają  
cele które ma na muszce  
zostaną strącone  
wypłaci sobie sprawiedliwie  
ale niemożliwie  
ale niemożliwie.*

### 3.

Kiedyś, opowiadałeś, poszedłeś  
odwiedzić dziecko sąsiadki, które  
nie jest w porządku z głową. Matka  
dziewczynki  
czekała na ciebie, czytając w kuchni książkę. Mała  
była w brzydkich granatowych spodniach  
i szarym sweterku. Przyniosłeś jej  
książkę z obrazkami, wzięła ją  
i schowała do łóżka, pod kołdrę. Bawiliście się  
budując wieżę z klocków. Wspaniale;  
jest dzika i bezbronna  
jak goły nerw wypuszczony w świat. Pije ciebie,  
tonie — ale nie przepada. Żyje w nieukojonym  
i bezkarnym strachu, zapada we wszystko  
ale zostaje w sobie. Jest doskonała, skończona  
na zewnątrz niej  
jest dalej ona, a w niej  
dalej świat.

— Może pan  
zostanie jeszcze? — pyta jej matka, kiedy mała  
leży już w łóżku. Stoi w drzwiach kuchni, za nią  
odrzucająca, zmartwiła  
przestrzeń mieszkania. I tak co wieczór  
ciągle,  
bez zmiany.

### 4.

Śniło ci się  
że siedzisz na blacie długiego stołu  
w jakiejś kuchni  
w starej czynszowej kamienicy. Na zewnątrz  
i wewnątrz  
to samo  
ciemne, przygnębiające światło. Jest zmierzch,  
okno wychodzi na podwórze-studnię. Niżej,  
w przeciwległej części domu,  
ktoś stary (nie widać: kobieta czy mężczyzna)  
siedząc przy parapecie  
pije łyżeczką herbatę. Wyżej  
niebieskie światło telewizora w pustym ciemnym  
pokoju.

Naprzeciw  
w drzwiach między kuchnią a nieoświetlonym korytarzem  
rozmawiają, oparte o framugi drzwi, starsza kobieta  
i młoda Cyganka w różowej połyskującej  
spódnicy. Ale za nimi  
nie ma korytarza. Widzisz to nagle:  
tam nic nie ma. Wszystko jednowymiarowe:  
ten dom, podwórze, ludzie.  
I czujesz, jakby ktoś obcy, spoza snu  
zaznaczył gwoździem to miejsce, w którym jesteś. To ukłucie  
przebija tak mocno  
że twoje życie



stańło w tobie, dławiąc.

Z jakimiś zanikającymi strzępkami myśli, obrazów:

matka,

ojciec, ona i tamta, i znajomi, jakiś lęk

jakaś zapomniana satysfakcja —

to wszystko z gorzkim smakiem, w gorączce,

w zdrętwiałym ciele

trzeba się ruszyć spieszyć działać — ale

nie poruszyło cię. Jest źle i czujesz

plytką rozpacz

w której nie sposób się zanurzyć, przebić

stwardniałej powierzchni.

Ani płakać, ani zawyć. I pojmujesz nagle

że to już

wieczność

że to już

po śmierci.

5.

Zabłysnął niebieski ekran telewizora — co widzę?!

Na dachu

wieżowca

pod chłodnym rozpędzonym niebem

leży snajper. Zamknięty

w wewnętrznym kręgu

skupienia i ciszy. W wizjerze

układa się przestrzeń, obraz nachodzi na rzeczy, oddech

uspokaja ciało. Organiczny

karabin Superego Lux jest świetliście bliski,

od czarnej oksydowanej lufy

przez ciemne wnętrze do chłodnej, przylegającej kolby

— i tam

gdzie twój palec leży leciutko zagięty

we wklęśnięciu spustu; wszystko

gotowe. A on

kładzie głowę w zagięciu łokcia, zamyka oczy; lepiej by było teraz

być młodym, umierającym dowódcą:

spieczone wargi, skrwawione bandaże;

otoczony milczeniem żołnierzy, wśród ostatnich strzałów,

rozwiewającego się dymu

szuka spojrzeniem swojego zastępcy, silnego jak byk,

wrażliwego jak nawiedzone dziecko.

— Więc ostatecznie,

czy chcesz — pytam go —

żebym ten fragmentaryczny, być może, poemat

dedykowała tobie?

— Nie —

powiedziałeś — tylko

bez dedykacji.

1975–1980

## *Blues pod tytułem „Snajper”*

Byłam na ostatnim piętrze, ty byłeś na dole, mój  
przyjaciel ze mną był,  
siedzieliśmy na podłodze, on mi opowiadał sny  
Bardzo szczerze było nam.  
Ty do windy wchodzisz już.

Ja czytam o kimś, kto słucha, on był w kuchni, robił coś.  
Rozmawialiśmy dokładnie, choć się nie rozlegał głos.  
Wszystko było jakby szerzej i wysoko, ale tu.  
Ty do góry jedziesz już.

On miał długie jasne włosy, a kiedy szedł spać,  
to zdejmował okulary i mi do herbaty kładł. — Co widzicie?

— pytam je.

— Łódź podwodna jest na dnie, a teraz podnosi się.  
Ty do góry jedziesz już.

Ja na brzegu łózka siedzę, on na drugim brzegu śpi.  
Nie chcę sama być jak pies, czasem strasznie cieszę się.  
On mi odpowiada: wiem.  
Ty do góry jedziesz już.

On na brzegu łózka siedzi, ja na drugim brzegu śpię.  
Nie chcę sam być tak jak pies, czasem strasznie źle mi jest.  
Ja mu odpowiadam: wiem.  
Ty do góry jedziesz już.

Ty do góry jedziesz, lecz  
raczej nie zastaniesz mnie.  
Ostatniego piętra brak,  
drżymy, bo coś jest  
nie tak.

1973

## *Domek Dzyń*

Kropla  
zapełnia przestrzeń.  
To samo: podróż i korzeń.  
Oddech unosi słowo  
i sztuczne jest prawdziwe. I ja tutaj. Cokolwiek zechcę,  
mogę:  
żyj, umrzyj, zadzwoń!

Dzyń!

1978

# Dom spania

Śpię,  
mieszkam w sobie. Trzoda  
pilnuje się sama,  
nie zapomina o mnie. Gdzieś, na zanikającej krawędzi  
jakaś idea schodzi szlakiem  
trawionej kromki chleba, przebija jeszcze  
rytm niedawnej rozmowy, topnieje  
resztką strachu w przykurczonym mięśniu. I cokolwiek jest,  
jest oddzielone,  
ale przenika mnie. Świat się usunął,  
ja się usunęłam;  
w tej rozrzedzonej, odradzającej przestrzeni  
próbuję głosu kielkujący chór.  
Nie słyszę go. Śpię,  
żyję  
swobodnie.

1978

# Dom zgodności

Wieczorem,  
wracając metrem do pożyczonego mieszkania,  
jadąc pod ziemią nieznanego miasta  
detronizowałam się  
i gdzieś zatracala się moja i tak nieoswojona  
historia. Wiśniowa przetarta torebka  
kobiety śpiącej na przeciwległej ławeczce, rząd lamp  
pod sufitem wagonu, metalowe uchwyty drzwi,  
skały za oknem  
układały się w spełniony plan świata. Spełniony,  
straszny. W mieszkaniu  
przejrzałam książki —  
niektóre w tutejszym języku, inne  
w moim, który też  
przestał mnie dotyczyć. Dałam jeść kocicy  
i jej pięciu małym. Sześć kotów  
jadło cztery ryby. Stojąc pośrodku tej kuchni,  
potem w pokoju przy oknie,  
patrząc z nateżeniem w ciemne podwórze, poczułam  
jakiś rozległy niepokój  
od tej przestrzeni, którą rozrzedzałam sobą i  
żeby ją zgarnąć  
umyłam sobie swoje zęby  
i ścieląc łóżko podłożyłam sobie pod głowę  
swój sweter. Gasząc światło  
włączyłam radio. Przy zacisznym blasku skali  
zasypiałam czujnie pod samą powierzchnią  
aż przebiły ją  
czarne gigantyczne skały

Rosnące bez końca  
w kosmicznej rozszerzającej się z siebie przestrzeni;  
patrzyłam gdzieś z dołu  
na pasma ciemnogramatowych przestworzy  
ciągnące  
między szczytami skał. Pancerne, podklejone jakby  
migoczącą warstwą  
rozmów śpiewu muzyczki  
— i strącając kota na podłogę  
usiadłam  
patrząc, ślepiąc w ten ciemny bóg wie jaki pokój,  
w tę dokładną co do milimetra makietę  
szaleństwa;  
osobności  
która doprowadziła do tego  
spojrzenia —

1980

## *Dom pracy twórczej*

Tego popołudnia  
wychodząc z domu do ogrodu  
poczułam: widok tej przestrzeni  
napina i szarpie mój nerw błędny  
jak nylonową żyłkę. Obraz przylega do rzeczy. I nie jest  
inaczej. Z kuchni polowej  
stojącej przy domu  
wzięłam  
kawalek chleba. Kucharka, nie przerywając czytania gazety,  
nalala w mój kubek herbaty  
i jakby wyrównała tą strużką  
mój płytki, zmięty oddech. Zza domu dochodził łomot  
rzucanych na ziemię  
skrzyń z jedzeniem, padały paczki  
papierów, banknotów, odzieży. Wyżwirowaną drogą  
schodziłam ze wzgórza w dolinę ogrodu  
idąc równoległe  
z czerwonym stygnącym słońcem. Na dole  
w sadzawce  
wypełnionej napiętym, ciemnym kwadratem wody,  
bez szmeru brodziła para. Kobieta i mężczyzna koło

sześćdziesiątki.

Nad nimi

słonawy opar budowli  
wzniesionej  
przez jeden  
z ataków czasu. Pogryzając chleb  
zeszłam na skarpę ogrodu. Na asfaltowej ścieżce  
mój znajomy rysował portret  
swojej nogi w wysokim skórzanym bucie  
i przytulone do niej  
dziecko. Odłożył kredę i spojrzał na mnie



wyść i wściekle nie ma  
i ciężko. Niedługo potem  
znalazłam to zdjęcie: stoją jak wyłożeni przy drodze  
a nikt  
nie ma tam dostępu. Jak czasem sama do siebie  
kiedy widzę  
że życie biegnie tą swobodną,  
ostateczną linią losu, kiedy wiem  
że jestem — a nie pojmuję jak — i jak  
to możliwe. Kiedy wtulona, wbita, wprasowana w coś w kogoś  
i tak: tu się zaczynam  
tam się kończę.

O, kurnik!

Otchłań! Gombrowicz  
oparty tyłkiem o maskę samochodu, w marynarce, w szaliku  
z niepokojem czy napięciem w twarzy, jakoś pochyłony  
do ziemi patrzy  
poza granice zdjęcia. W otwartych drzwiach samochodu  
Rita ulatuje  
oparta łokciami o dach  
w jasnej bluzce, uśmiechnięta prosto w obiektyw —

## *Jasne, cholerny trupie*

Jasne, Kocham cię,  
cholerny trupie — tak mi się powiedziało kiedyś  
kiedy wychodziłam z domu, świeża, dzień lekki

i słoneczny,

i skąd to „jasne”? Czy pytał mnie wtedy? Odpowiadam  
co jakiś czas, ciągle od 15 lat,  
choć nie wiem, jak właściwie miałabym mu wyznawać:  
wypluć gumę do żucia, przykleić do obcasa, zsunąć

cowbojski kapelusz

i ciepło, rzeczowo powiedzieć: Kocham cię, na początek  
mam 20 dolarów; czy dopić truciznę i ciągnąć za sobą

tren ciężkiej

sutej sukni

paść na dywan u jego stóp, łowiąc  
ostatni  
boski błysk jego eleganckich trzewików;  
czy szarpnąć za lokiec w tangu i z przechyłu zionąć

mu w twarz:

chcę pana pragnę pana;  
czy skoczyć za nim z mostu i spadając śpiewać:  
Kocham cię! Kocham Kocham —

Może był tą połówką, której brak tak boli, może  
to nie on i nie ja  
a tylko możliwość, trop, pokrewieństwo,  
bo i ja i on  
niby byliśmy osobno albo razem z innymi, ale każde  
samo  
z tym pragnieniem despoty, prostaczka, dandysa  
mieć niemożliwe, niech koi koniecznością, zmieniać świat

swym spojrzeniem! Dostać ten diament! Więc on  
ekspłodował z niepokoju i z poczucia pustki,  
choć był szalejącą, rozrastającą się dżunglą,  
a ja i dziś myślę: Co? Mam tak stać i wyznawać miłość  
i okazywać żal i gubić się w domysłach i snuć refleksje?!

Tak

się poddać, tak się dać wpasować w jakieś opowiadki,  
tak — powiedziałabym — zdradzić, choć oboje  
woleliśmy *pojęcie* zdrady niż wierności. — O, nie! Niech będzie  
że to jakby oddźwięk, nawiedzenie,  
niech nie wiem, kto pierwszy uderzy w ten tam-tam  
żywa czy trup. Nieważne. Jedna strona hipotezy nie żyje  
lub tylko jedna żyje  
już nie gadać nie gadać już  
kochać

1985

## *Solo Berkeley (solipsystycznie)*

Czekałam na niego  
w dolinie kamieniołomu nad morzem. Za mną  
białe promieniujące skały, niżej  
kamienisty, krzewiasty brzeg — na cały horyzont  
słońce i świecąca woda. Nie  
nadchodził.  
Spacerowałam jak po estradzie: równo, białe, blask  
z góry i spod stóp. Sprawdziłam zegarek: chodził. To

cykanie

wydało mi się odcięte od własnej oczywistości. Nie lokowało się  
na tym pełnym widoków bezludziu. Jakby  
coraz ciaśniejszym. Jakby  
zwykły bieg życia  
był poza zasięgiem — oplątywała mnie  
paniczna, drętwa samotność. Nie widziane  
nie widzi. Nie słyszane  
głuchnie. Spojrzałam na zbocze — oślepiło mnie.  
Nie widzę go — nie istnieje. Zamknęłam oczy:  
za moimi plecami jakiś punkt  
rozrastał się w gigantyczną otchłań. Odwieczna

wszystkość

wchłaniająca sens, obecność, znaczenie.  
Te skały, brzeg, morze — to jej wglądówka dla mnie.

Negatyw.

To, co mi chce pokazać. Serce  
roznosiło mnie na kawałki. Otworzyłam oczy. Schodził

zboczem!

Ostrożnie, skupiony, zeskakiwał z ostatnich bloków  
na estradkę. Zobaczył mnie, kiwnął ręką. Ja też  
kiwnęłam. Jakie świetne stworzenie! Jakie  
podobne do mnie: głowa, ręce, nogi. Okulary  
przeciwsłoneczne. Ja też mam takie.  
Dotknęłam ich. Wszystko

przycichło, jakby tyłem wpełzało  
na swoje miejsce. Złapałam oddech  
i poszliśmy razem, przed siebie. Ale właściwie  
to poszliśmy  
przodem —

1984

## Solo Berkeley (drugie)

Czekałam w jego mieszkaniu: kuchnia  
z balkonowym oknem, uchylone drzwi do pokoju, cień.  
Z blatu stołu wzrok zszedł na deski podłogi  
i niżej, za okno, na chodnik. Gęste drzewa, ławki.  
Na niebie czerwonawe słońce i mgławki, przejrzysty  
księżyc.

Zaparzyłam herbaty,  
naląłam do szklanki, której nie umył po sobie. Piłam.  
Piłam, robiło się ciemno i chłodno. Zamknęłam okno.  
Kuchnia

zwarła się: ściany objęły zlew, stół, duży  
ciemny kredens. Granatowy prostokąt szyby  
odbijał to wszystko  
a ja, patrząc w ten zaciemniony, pomniejszony  
obraz  
nieruchomiałam — żeby go nie mącić. Zatracająca się gdzieś  
kopia wnętrza kabiny.  
Pojazd rozsypany w przestrzeni.  
Pamiętka. Smutna  
jak blaszany dźwięk zawieszony nad pustą drogą.

straszne pragnienie przywołania kogoś, kto znał  
naszą cywilizację, czas, miejsca. Sens. Ach, bliskość,  
bliźnię —  
W pokoju zapaliłam lampę. Wszystkie rzeczy  
pojawily się nie stykając się ze mną:  
— Czy wyrzekacie się jej? — Wyrzekamy. — Człowieku,  
opuść te stworzenia —  
Włączyłam telewizor i włąłam  
na niepościelony tapczan. I jakbym tkwiła w próżni.  
Na ekranie

frunęły  
wyniosłe zarzucone włosy. Przegięte plecy, szarpnięcie tyłkiem kłaśnięcie —  
odkopnięte mocno falbany sukni  
opadają powoli. Stopy drobno uderzające  
w podłogę. Przerwa: napięta i wysoka wieża. Przerwa:  
jęk — pchnięcie — jęk —  
— *Hiszpańska tancerka* —  
powiedziałam głośno. Nie zrozumiałam  
co mówię. Z Andaluzji — pomyślałam. Z musującą od niepokoju drętwotą  
napisałam w myślach: Co ja robię? Co —  
zdejmujesz ze świata warstwy  
sens, los, ciągłość, ruch; wszystko



do gołej kości  
własnej czaszki. Której też nie uwierzysz. Osiągasz  
zero wyobraźni. Zamknij  
uroczne oczy. Zamknęłam. Naciągnęłam koldrę,  
było mi zimno. Wtedy trzasnęły drzwi. Przyszedł.

Złazłam

z tapczanu, otarłam spocone dłonie o spódnicę,  
zajrzałam do kuchni: pił swojo-moją herbatę  
na stojąco, z torbą w ręku. W szybie odbijała się kabina  
kuchni z nim i ze mną, z głębi pokoju

promieniował  
obraz tancerki. Odwrócił się i powiedział  
coś:

*ratuj*

albo

*ratunek.*

## *Nosferatu, wampir*

Wracałam do domu w nocy. Ciągle pod górę  
starym, rozmytym wąwozem  
między dwoma lasami. Nagle ściemniało. Chmury  
sięgnęły ziemi, szarpnął wiatr. Z pierwszą błyskawicą  
uderzyła mnie  
głęboka, dziecięca trwoga. I zaraz  
zobaczyłam światło: żółto-mdlawe. W najwyższym

oknie domu

który musi stać za najbliższymi drzewami. I jakby  
z tym światłem szło spojrzenie. Więc jest —  
więc jesteśmy!

Szarpnęłam drzwiami. Na dole  
nikogo. Weszłam  
ciemnymi schodami na górę: oparty plecami o okno  
stał on — Nosferatu, wampir. Ta właśnie twarz

kredowa

jakby przerżnięta blizną — ale gładka.  
W ogromnym pokoju  
stół i dwa krzesła. Płonął ogień. I ta oczywistość:

aureola

koronująca  
czas, miejsce, osoby.  
— *Przyszłam* — powiedziałam — *tą drogą*  
*która miała prowadzić* —  
— *Witaj w naszym domostwie* — przerwał  
i jakby się uśmiechnął.  
— *W domostwie?* — powtórzyłam nie słysząc się  
zatopiona w tych sinych oczodołach, gładkiej czaszce  
ach, te ruchy kanciastopłynne  
jakby nie miały prawa stykać się  
z ruchem czy nieruchomością rzeczy  
a jednak stykają się i działają. Przysunął  
kieliszki, białe wino,  
talerzyk malin.  
Siadłam

naprzeciw niego.  
— *Od dziecięcego osamotnienia* —  
powiedziałam patrząc w niego — *przechodzi się*  
*do neurozy wieczności. To znaczy: żeby żyć*  
*bezpiecznie*  
*trzeba gwarantować sobie*  
*sobą*  
*wszystko.*  
Klatka z pustych białych ścian. Czarne  
okno. Tylko on  
przede mną.  
— *Tak* — powiedział — *to podobne. Podobne.*  
*Pić krew ludzi, zdarzeń, rzeczy*  
*i nie moc ożyć. Pić*  
*żeby nie być upiorem. Pułapka* — krzyknął cicho —

*pomyłka!*

I nagle  
zobaczyliśmy się  
jak wyłączeni, wycięci ze świata. I moje  
i jego spojrzenie  
przyniosły ze sobą wszystko, co miały  
i porzuciły wszystko. Objęły się. Niemożliwe: zdawało mi się  
że w moich oczach widzi swoje odbicie. Och, rozwalić  
tę samonapędzającą się udrękę. Wyzwolić.  
Przetarłam oczy. Westchnął. Siedzieliśmy  
naprzeciwko siebie. Zjadłam malinę. Drugą  
obracałam w palcach.  
— *Ja też* — zaczęłam  
jakimś grzęznącym szeptem — *jakbym piła życie*  
*przez innych. Od siebie*  
*przez nich*  
*do siebie, to mi daje moją obecność. Ale ja* —

*samodzielnie*

*czy może samotnie — zostaję samotnie i*  
*zanikam... rozpadam...* — i jakoś zupełnie  
schryplam. Było mi zimno. Odwrócił  
głowę. Nad sztywnym, czarnym kołnierzykiem  
czaszka z napiętą skórą. Niespodziewanie  
wyciągnął rękę:  
otwarte sine palce z pazurami. Była  
twarda, lekka. Niech będzie jak jest —  
i ścisnęłam ją. Położył głowę  
na stole  
obok naszych rąk. Och, pomyślałam, dość, każde z nas  
wyje do tego, czym nie jest, czego  
nie zaznało. Tkwie w życiu  
jak w ciągu przypadków, pożądając  
tylko konieczności. Zawsze obecnej  
i zawsze nieosiągalnej. Tak się tłuc  
jak on  
w tej klekoczącej blaszance wieczności? I z całej siły  
ścisnęłam jego rękę.  
— *Wyrzekam się* — powiedział. Jego ręka w mojej  
zrobiła się cięższa, cieplejsza,  
pazury zniknęły. Wypełnione ciało  
wolno

zsunęło się w moją stronę  
na blat! Zerwałam się  
przewracając talerz. Leżał do połowy na stole;  
bezwładny, ciężki. Miał ciemne kręcone włosy,  
widziałam zaróżowione ucho — żywy  
martwy człowiek! Więc cofnął się  
do swojej śmierci.  
Spróbował. Stałam nad nim  
z rękami przyciśniętymi do serca  
i czułam  
jak coś się we mnie rozszerza: pęknie,  
trzaśnie — i jest tam jakiś głos — i  
wyje, niewydobyty. Chyba  
nad ranem  
ocknęłam się. Wypiłam wino z jego kieliszka i oblizałam  
krawędź. Przed wyjściem sięgnęłam: podnieść jego głowę,  
zobaczyć twarz. Ale, pomyślałam, nie. To  
sprawdzi się samo.

1981–1983

Jako inspirację powinnam wskazać, więc wskazuję, *Draculę* Brama Stokera, *Nosferatu*,  
*symfonię grozy* Murnaua, a głównie *Nosferatu*, *wampira* Wernera Herzoga, gdzie Nosferatu  
grał Klaus Kinsky.

## O pocieszeniu, jakie daje poezja

Ludzie,  
czasami tu można cichutko zemrzeć, wyschnąć  
w tym głodnym bastionie obronno-nacierającym, w tej  
krańce  
poezji. W tym kunszcie tak ascetycznym  
gdzie można do woli  
używać słów: jak cegiel, jak karabinu maszynowego,  
jak ognia — sztucznych i prawdziwych, jak siebie, jak życia  
które  
ani wygrane ani przegrane  
płyne —

A tu robótka: sklejanie całości  
na ślinę, na intelekt, na kulturę, wbrew  
kulturze (w ramach kultury); och, to popiskiwanie  
mocarne, erudycyjne, prywatne — ja sama  
jestem jego zdradzieckim sumieniem bez wiary,

używam słowa *wszystko*  
jakbym chciała to, co ono zawiera  
wystrzelić, wypluć — już! teraz!  
I marzę o gigantycznym widowisku  
jakiś filmowej operze z baletem, z muzyką przez

świat światła sława miliardy widzów  
i doskonała wspólnota i rozumna, dokładna osobność  
a nie tak jak tutaj:  
relikwia

najchętniej

armatofony;

rzemiosło cienkiego nerwu  
i cienkiego pędzelka  
które już ledwo zipie pod ciężarem  
własnej formy, świata, który przetrawia, głosu  
który się wypowiada w tych  
słupkach

schodkach

wersach.

I myślę: dobrze, *na razie*  
jestem tutaj. I to *na razie*  
prawdziwe czy nie  
pociesza mnie najbardziej.

---

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/keff-razem-osobno-cykl>

Tekst opracowany na podstawie: Bożena Keff, Nie jest gotowy, OPEN Wydawnictwo Naukowe i Literackie, Warszawa 2000.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Okładka na podstawie: [dion.gillard@Flickr](mailto:dion.gillard@Flickr), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).